Nr. 37. We Lwowie, Poniedziałek dnia 15. września. 1890

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”.

Z Ostendy.

I.

Wrzesień 1800. r.

Belgia nie posiada wprawdzie podobnie jak Anglia, Holandya, lub Francya wybrzeży równie urozmaiconych, mimo to okolice jej położone nad morzem nie są pozbawione naturalnego uroku. Belgii brak głęboko sięgających zatok a i te, które ongi istniały, z czasem zostały zasypane piaskiem. Brügge, nazwane ongi Wenecyą zachodu, nie leży dziś wcale nad morzem W ciągu czternastego i piętnastego wieku lotne piaski, przypędzone falami morskiemi, odcięły miasto od oceanu łańcuchem gór piaszczystych. Wydmy te ciągną się nieprzerwanem pasmem od Dunkirchen po Midleburg, sprawiając w pewnej odległości najzupełniejsze wrażenie górskich okolic, co prawda pozbawionych wszelkiej roślinności. Dopiero w ostatnich czasach pomyślano o sztucznem zalesieniu wydmisk między Ostendą a Coq-sur-mer, co oprócz względów estetycznych przyczynia się w wysokim stopniu do utwierdzenia wybrzeża przeciw nawalnościom morza.

W samym środku łańcucha tych wydm leży Ostenda tuż nad ujściem kanału brügijskiego. Zaraz na pierwszy rzut oka wyróżnia się Ostenda od innych miejsc kąpielowych swą wielkomiejską fizyonomią. Szerokie i długie ulice, wielkie place i bulwary roją się tłumem ludzi. Oprócz gości kąpielowych, nie brak tu przemysłowców i marynarzy. Dla tego też w razie niepogody nikt nie może się w Ostendzie uskarżać na nudy. Oprócz codziennych produkcyi w kasynie są tu przedstawienia teatralne, koncerty, tingel tangle.

Zanim Ostenda doszła do obecnego stopnia okazałości, przechodziła koleje losu bardzo różne. Była ongi portem wojennym, później handlowym, by zejść następnie na długie czasy do rzędu nędznych osad rybackich. Dopiero początek naszego wieku przyniósł jej zapowiedź świetnej przyszłości. Napoleon I, któremu cała Belgia bardzo wiele ma do zawdzięczenia, zamierzał nadać Ostendzie charakter portowego miasta przez wybudowanie portu. Skoro Belgia uzyskała niepodległość, Leopold I. podjął myśl Napoleona i już od r. 1830 stała się Ostenda letnią rezydencyą królewskiego dworu. Dwór zamieszkiwał wówczas skromny, dom o mieszczańskiej powierzchowności przy ulicy Longue, która wówczas zaliczała się do najgłówniejszych w mieście. Właściwy wszakże charakter międzynarodowych kąpieli przybrała Ostenda dopiero po roku 1870. Dawną elegancyę w urządzeniu zastąpił szalony przepych i pod tym względem nie może z nią iść w zawody żadne z miejsc kąpielowych. Na międzynarodowy charakter tych kąpieli wpływa w pierwszym rzędzie korzystne położenie Ostendy w samym środku między Francyą a Niemcami, Anglią a Holandyą. Od sierpnia Ostenda jest miejscem zbornem dla całej zachodniej i środkowej Europy. Wprawdzie stali mieszkańcy tutejsi zauważyli od pewnego czasu słabszy udział gości z Francyi, jednakowoż fakt ten łatwo się tłómaczy szybkim rozwojem kąpielowych miejsc tamtejszych, jakoto: Tronoille, Dieppe, Etretat. Ubytek gości francuzkich wynagradzają sowicie Niemcy — pod względem materyalnym. I jeźli właścielom hoteli, mieszkań, restauracyi i kupcom tutejszym powodzi się dziś gorzej niż w dawne lata, to przyczyną tego objawu szukać należy w szalonej drożyźnie, jaką się Ostenda odznacza. Skutkiem nie powstał cały szereg zakładów konkurencyjnych na belgijskiem wybrzeżu, że wymienimy tylko Blankenberghe, Heyst, Middelkerke, w których za tańszą bez porównania cenę można istnieć wcale wygodnie.

Ubytek pod względem ilości gości kąpielowych, datujący się od jakich trzech lat, wynagradza Ostendzie jakość zabranego tu towarzystwa. Komu znudzi się widok fal morskich i prześlicznej przyrody, ten znajdzie cały szereg najrozmaitszych rozrywek dla zabicia czasu. Nikt nie może użalać się na jednostajność. Ruch rozpoczyna się o wczesnej godzinie porannej. Po bulwarze snuje się tłum gości z twarzą zarumienioną od porannego wiatru, podczas gdy inni na koniach, lub na osiołkach używają przejażdżki do poblizkiego Mariakerke. Chcąc użyć rzeczywiście świeżego powietrza, należy wstać wcześnie, gdyż już około godziny dziewiątej panuje upał niesłychany. Śpiochy muszą pokutować za swe lenistwo, uganiając się koło kabin kąpielowych całemi godzinami Na 12.—15.000 gości istnieje bowiem tylko 500 kabin. Można sobie zatem wyobrazić jaki ścisk i gwałt panuje już koło kas kąpielowych od godziny dziesiątej rano. Nie dość jednak posiadać bilet, należy sobie następnie wynaleść wolną kabinę, co nie jest rzeczą łatwą, gdyż kabiny te po oś u koła zanurzone są w wodzie. Panie i panowie kąpią się wspólnie, przeciw czemu nikt nie myśli protestować. Nawet Angielki z swem tradycyonalnem. *Shocking* godzą się cierpliwie z tutejszym zwyczajem. Co więcej, tradycya kąpielowa stwierdza fakt, iż to panie właśnie niechętnie kąpią się w odosobnieniu. Przed laty w Scheveningen podzielone wybrzeże na trzy rejony, z których pierwszy był przeznaczony wyłącznie dla kobiet, drugi był wspólnym, trzeci zaś miał służyć mężczyznom. Otóż pierwszy rejon był zazwyczaj całkiem pusty, tak, iż zarząd widział się zniewolonym do przywrócenia zwyczaju wspólnej kąpieli.

Po południu rozpoczynają się w Ostendzie rozrywki, trwające do późnej nocy. Pierwszy koncert w kursalu rozpoczyna się o godzinie trzeciej i równocześnie następuje otwarcie sal do gry. Drugi koncert ma miejsce o godzinie siódmej i mimo znakomitej produkcyi orkiestry starego Périera jest podobnie jak pierwszy tylko pozorem dla rozwinięcia bajecznego przepychu tualet. Panie zasiadają przy stołach obok krużganków, ko których krążą mężczyzni, odbywający przegląd ładnych twarzyczek i strojów. Zarówno w rozmowie, jak w kostyumach panuje najróżnorodniejszy kosmopolityzm. O muzykę nikt się nie troszczy.

W salach do gry panuje gwar nieopisany. Zakaz ministeryalny hazardów spowodował tylko pomnożenie ilości stolików. *Rouge, Bleu et Noir* znajdują zawsze liczne grono zwolenników. Stawki wynoszą od jednego do stu franków. Majątku niepodobna tu przegrać, ale o znaczną ulgę w kieszeni nie trudno. Dla graczów, którym gra tego rodzaju nie przypada do gustu, stoją otworem salony „prywatnego klubu,“ przy których straż pełni wygalowany sługus w pończochach. Tu kwitnie ruleta, *Trente et Quarante* i *Petit chemin de fer*. W salonach gry królują też damy półświatka, przybyłe z Brukselii, z Paryża, z Londynu, otoczone zawsze tłumem starych i młodych wielbicieli.

Jakkolwiek już Leopold I bardzo chętnie przebywał w Ostendzie, jednakowoż dopiero za rządów obecnego króla stała się ta miejscowość faktyczną rezydencyą dworu w porze letniej. Król Belgów przepędza tu co roku znaczniejszą część lata. W drewnianym pałacyku zażywa wczasu, oddając się ulubionym studyom geograficznym. Leopold II. wstaje wcześniej od swej służby. Rano o godzinie piątej udaje się zazwyczaj sam tylko na przechadzkę po wybrzeżu, następnie pracuje w swym gabinecie. W godzinie przedpołudniowej zwykł król w jasnem ubraniu i w szerokim, słomkowym kapeluszu, przypatrywać się ruchowi, panującemu koło kabin. Popołudniu, lub wieczorem widzialnym jest monarcha na bulwarze. Stroni tylko systematycznie od kurhauzu, gdyż jest nieprzejednanym przeciwnikiem muzyki. Król należy do najstarszych gości kąpielowych w Ostendzie i popiera ten zakład znacznemi ofiarami z swej prywatnej szkatuły. To też mieszkańcy nie pomijają żadnej sposobności, by mu wyrazić swą wdzięczność. Sezon, w którym król nie może być obecnym, (jak to miało miejsce w roku zeszłym), uważa się za stracony. Leopold II. wie o tem dobrze i tylko bardzo ważne sprawy państwowe mogą go zatrzymać zdala Ostendy.

Poczty w Chinach.

Nie nowa to sprawa — poczty w Chinach. To też nie wspominamy tu o niej, jako o objawie cywilizacyjnym, zaczerpniętym z łona cywilizacji zachodu, przeciwnie, jakkolwiek niepozbawiona jest względnych zalet, myszką traci, a ztąd posiada pewne oryginalne strony i tem nas to głównie zajmuje.

Powiedzieliśmy wyżej, iż nie jest pozbawiona pewnych zalet. Należą do nich: względne bezpieczeństwo przesyłek pocztowych i szybkość, z jaką dochodzą miejsca przeznaczenia.

Depesze rządowe wyprawiane bywają za pośrednictwem ludzi, wyłącznie do tego przeznaczonych, a pozostających pod zarządem ministerjum wojny w Pekinie.

Na wychudłych szkapach przenoszą się dość szybko ze stacji na stację, a ważne rządowe dokumenta wędrują niekiedy w ten spo ób około 45-iu mil naszych dziennie.

W każdem z chińskich miast znaczniejszych istnieją urzędnicy pocztowi, od których zawisła jest jedna prowincja lub więcej.

Odpowiadają oni za całość i bezpieczeństwo przesyłek, płacąc odszkodowanie w razie zagubienia której z nich; treść przesyłki oznaczana bywa przy oddawaniu jej na pocztę; porto opłaca się w stosunku do jej wartości.

Zwyczajni listonosze chodzą przeważnie pieszo, używają jednak czasem osłów, które też często na głównych drogach państwa spotykamy, a które z punktualnością chronometru posuwają się naprzód. Pomimo, iż osłom towarzyszy tylko najemnik, niełatwo byłoby je skraść, ktoby je bowiem chciał czy to ze zwyczajnej drogi sprowadzić, czy to dwie naraz bez wytchnienia przebyć stacje, temu zwierzę, na zasadzie wrodzonego mu uporu, stawiłoby opór nie do pokonania, chybaby je siłą ciągnąć wypadło.

Objuczeni 80. funtami pak, paczek i listów, kłusują listonosze milę na godzinę aż do następnej stacji, gdzie już czeka na nich świeży osieł i świeży posłaniec i pocztę wiezie dalej dniem i nocą, bez względu na stan pogody.

Aby łatwiej obowiązki swoje spełniać, pocztowi ci posłańcy zachowują odpowiednią djetę, t. j. nie najadają się nigdy w zupełności, a tylko, jak twierdzą chińczycy, od $^6/_{10}$—$^2/_{10}$ całości; odżywiają się za to często, przy każdem odezwaniu się głodu.

Oczywiście służba tego rodzaju nielada sił wymaga, to też listonosze rekrutują się z najzdrowszych osobników warstw robotniczych, przytem, co w Chinach jest niezmiernie ważnym warunkiem, ludzie to winni bez przesądów, nie wierzący w gusła, widma, czarownice, djabły, przed któremi, jak wiadomo, każdy prawowity obywatel państa niebieskiego drży ze strachu.

Opłata porta jest bardzo niska. List, wyprawiony z Pekinu do Hankau, a więc na odległość w prostej linji 150-iu mil, wynosi zaledwie około 40 fen.

Kupcy używają również czesto posłańców pocztowych, powierzając im nieraz cenne przesyłki. Że jednak drogi w Chinach, a szczególniej w pewnych okolicach państwa, nie należą do najbezpieczniejszych, od czasu do czasu powiem przeciągają niemi całe bandy opryszków, kupcy zatem, w razie ekspedjowania cenniejszych przesyłek, wynajmują straż, złożoną zwykle z kilku ludzi, umyślnie w służbie tej ćwiczonych. Każdy z nich winien być w stanie jeżeli już nie siłą, to przynajmniej zręcznością pokonać 5—6 napastników.

Aby przyzwyczaić się i wyćwiczyć do walki z przeważającemi siłami, strażnicy ci oryginalnego używają sposobu.

W wysokich szopach zawieszają u dachu na długich linach ciężkie wory z piaskiem. W po-

środku tych worów staje jeden ze strażników i uderzeniami pięści wprawia je w ruch po kolei. Worki rozpoczynają wtedy taniec, bujając się na wszystkie strony, a strażnik stara się je odbijać, tak, aby go żaden nie dosięgnął, utrzymując je przytem wciąż w ruchu.

W razie braku zręczności ze strony zapaśnika, ciężkie wory raz wraz powalają go o ziemię.

Gajowy.

Nie było tu słychać nic więcej tylko szum rozkołysanego wiatrem lasu, rozśpiewane wiosną ptaszęta i codzienne skrzypienie pochylonych wrót leśniczówki.

Czasem, gdy obłoki na niebie stały dłużej w miejscu, a gałęzie nie powtarzały szeptu bukowych liści, dochodził tu rytmiczny stukot gadającego za lasem młyna; bryczka tędy przejeżdżająca rzadko, nie turkotała na wązkiej, piaszczystej drożynie, skrywającej się coraz więcej pod listkami rozrastającej się co wiosna karłowatej trawy. Pusto było, samotnie...

Stary drewniany domek, z wysokim dachem stał niby opuszczona egipska piramida, zakończona białym kominem, z którego rzadko kłębił się pióropusz dymu, stare gonty nieśmiało zabarwiał na zielono kępiasty mech, okna mieniły się tęczową barwą szyb, zamatowanych starością. Z po za sztachet małego ogródka wybujałe chwasty i pokrzywy wychylały się na porosłe perzem podwórko, na którem parę klocków drzewa leżało wsród suchych drzazg i gałęzi. Nie było tu gwaru domowego ptactwa, tylko wróble ćwierkały pod dachem, jaskółki szare lepiły gniazda, piszcząc od czasu do czasu za uciekającemi muszkami. Nie było tylko widać pracy rąk ludzkich...

Mogło się zdawać, że budynek ten stał opuszczony przez wszystkich jako dowód zupełnego nieistnienia ch iwości ludzkiej, ciągnącej zyski z najlepszego podmuchu wiatru, z najmniejszego kawałka ziemi, z naturalnej siły biegu lada większego strumienia. Daleko na horyzoncie dopiero widać było kręcące się śmigi wiatraka. W koło zielone zboża połyskiwały r są na wiosennem słońcu, dolatywał nawet z za lasu turkot pracującego młyna.

Mieszkał tu jednak człowiek.

Rano, gdy ptaki w lesie rozpoczynały swe życie pieśnią, a słońce ocierało z łez zapłakane trawy i zboża, gdy rozweselało blaskiem smutną ziemię, na leśniczówce ręka ludzka otwierała okno, twarz wychylała się na świat, piersi wciągały świerze powietrze poranku; ręka to była żylasta, twarz ogorzała, a piersi szerokie i gorące.

W niewielkiej izdebce pająk suto rozwiesił szare swoje festony i nici, nad ubogim tapczanem wisiała ciężka dwururka, parę arkuszy, zaczernionych nieprawnie ołówkiem... Na stoliku leżał kapciuch wypchany tytoniem grubym, krótka fajka, zapałki, nóż z krzesiwkiem — to wszystko. Gdyby kto ciekawy chciał po zatem pytać mieszkańca tego pustkowia o nazwisko, niewieleby się dowiedział.

— Hm, to tam pono zapisano w parafji.

Ale któżby aż tak daleko szukał zaspokojenia swej ciekawości; okoliczni chłopi nazywali go strzelcem albo panem gajowym, co zaś do nazwiska, tem się nikt rzeczywiście nie interesował.

— Co nam ta z przezwiska przyjdzie — powtarzano — zagon tanio wydzierżawia to i jedeśwa kontentni.

O sprawach domowych leśnika odpowiedź sąsiadów nie była również jasną.

— Taki ta jakisik cudok—mówili—ale człek uczciwy, co mu potrza, to se kupi w mieście... mógłby się ano ożenić, toby mu baba jaką warzę sprawiła, ale on tak już bałamuci, ciećkiej w chałupie chłopskiej poje, abo i u młynarza...

Czasem też odwidzał go młynarczyk, chłopak młody, więc wesoły; siadał wtedy z leśnikiem w izdebce i słuchał opowiadania lub przyglądał się, jak żylasta ręka, ująwszy prosty ciesielski ołówek, prostemi linjami rysowała niezgrabne konie, wąsate twarze, drzewa, płoty przydrożne lub chaty wieśniacze ..

— Widzisz Wicek, to chałupa Sikory, a to?

— A to nasz młyn — odpowiadał Wicek— koło jest i woda się burzy i grobla też jest...

— A widzisz...

— Wymalujcie też furę ze zbożem... a ten na koniu, to o za jeden?...

— Pi... synku, tęgi chłop był... Ale tylko wąsiska podobne. O, on był ładny, w barach szeroki, to Pietrek Zawierucha.

— Też strzelec?

— I jaki!... Miał broń jak cacko... Bywało zobaczy zająca to powiada, umykaj kusy, a tymczasem fajkę nałożę, a potem jak nałożę, a potem jak nałożył, jak nie wygarnie, tak kot zwinie się, beknie i gotowy.

— Ooo!... i cóż się z nim stało?

— Co?... to, co z każdym: poszedł do ziemi nim mu jeszcze sztueerek rdza zjadła.

Wicek lubił gajowego odwidzać, nieraz nawet zwierzał mu się, że młynarstwo mu się nie podoba, wolał by po lesie chodzić a do złych stworzeń, do wilków a lisów strzelać.

— Suchy chleb, klusek z maślanką niema.

— To nic, łaził bym sobie, las oganiał...

— Hi... a jak się ściemni, to przez las boisz się do domu iść...

— Abo tam za krzyżem straszy.

— Coby tam głupi straszyło?...

— Co? a wisielaki, niedarmo na chojaku gałęź uschła.

— E, baja, uschła bo... uschła, a wisielaki po śmierci nie chodzą.

— Bogać... może ich dusze pokutują?

— Czego... juścić tego pijaka, co się tak rok obwiesił to pewnikiem...

— Kto ta to wiedzieć może.

-- Czegoby miały pokutować i za co ?...

Tu gajowy ciągnął historję ludzkiego życia, doli, wędrówki dusz i ich celów, tłumaczył doniosłość grzechów, różnice śmierci, wszystko...

Rzeczywiście gałęź ta miała swoją historję legendową. Ludzie, przechodząc, uchylali kapelusze, żegnali się i spoglądali z pewną trwogą na tę suchą odnogę, która niby ramię drogowskazu wyciągniętą była ku wschodzącemu słońcu. Każdy z tych wisielców, którzy zakończyli tu doczesną swoją wędrówkę, miał swoją historję, powtarzaną z ust do ust po okolicy. Nie jeden zastanawiał się dla czego las w tem miejscu

wydawał się strasznym, dla czego szelest liści wzbudzał dreszcze i trwogę... Zagadki tej nikt jednak zadawalniająco, niestety, nie rozwiązywał, bądź to przez nieznajomość popędów psychicznych w desperatach, bądź wreszcie przez ciemnotę.

Gajowy wśród takich był przecież najmądrzejszy; dziwiło to nawet przechodzących, gdy czasem widzieli go odpoczywającego w tem miejscu, spoglądającego na suchą gałęź, modlącego się za umarłych i wzdychającego smutnie...

Ludzie do dziwactw jego przyzwyczaili się z latami. Nic przeciw niemu nikt nie miał i nie ciekawy był badać historji jego życia... A chociaż ktoś na odpuście w parafji plótł, że tam gdzieś w świecie miał żonę i syna, że miła żona gdzieś się z dorodnym amantem podziała, a syn w dziecięcych latach umarł — wszystko to ludzie jako plotkę uważali i prędko w pamięci tracili.

Gajowy o tem tylko nie opowiadał.

Pewnego ładnego poranku szedł sam młynarz na jarmark do miasteczka; zdziwił się niemało! gdy w lesie na przydrożnym kamieniu dostrzegł gajowego.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków — odrzekł, podnosząc głowę — Jak się macie Jacenty... Na jarmark idziecie i piechotą?

— Ha, w polu orka, niech się parobek zwija, Wicek miele a mnie wypadło po sita. Cóż tak siedzicie sfrasowany?

— E, tak też.. at, wyganiają człeka.

— Z osady?... podleśny?

— Ehe...

— A dziedzic?... a cóżbyście wy zrobili?

— Nic nie zrobiłem, nic Boże kochany! Toć i niestarym jeszcze, kulasy człeka noszą, ale... Tu niedbale ręką machnął.

— No i dlaczegóżby — dziwił się młynarz.

— Dlaczego, dlaczego — powtarzał strzelec. — A czy ja wiem. Może dla tego, że człek pono na tej oto gałęzi nie skończył i tyla...

— A cóż wy będziecie robić...

— Moi złoci, kto się tam o to pyta... nabyłeś się człeku, nabyłeś w lesie, nałaziłeś, naterałeś...

— A i komuż dają waszą osadę.

— Czy ja tam wiem... juścić innemu, jakiemuś nie z naszej parafji...

— Może... jucha podleśny...

Gajowy, jakby czem innem miał głowę zajętą, nic nie odrzekł na to... Czoło wsparł na dłoni i zadumał się... Młynarz patrzył na niego z współczuciem i pożegnawszy, odszedł. D. n.

Z nowel Tołstoja.

Djabli sługa.

Dawnemi czasy żył dobry, zamożny pan. Wiele sług służyło mu wiernie i z miłością. Mówili sobie:

„Nie masz lepszego pana, na świecie! Żywi i karmi nas dobrze, robotę rozdziela wedle sił, nie powie przykrego słowa — nie tak, jak inni, co sługę uważają jako bydle.“

Tak chwaliła sobie służba swego pana. A djabła zaś to gniewało, że służba żyła w zgodzie i miłości ze swym panem, więc opętał jednego z parobków, nazwiskiem: Aleb, i gdy pewnego razu znów chwalono pana — Aleb się odezwał:

„Po co go tak wychwalacie? A czy my mu to źle służymy? nie odgadujemy prawie jego myśli? Coby nie miał być za to dobrym? Sprobujcie mu tylko co źle zrobić, a odpłaci wam jak każdy inny złem za złe — a nawet gorzej jeszcze niż inni panowie.“

Drudzy parobcy sprzeczali się tedy z Alebem, chcieli się zakładać. — Więc Aleb postanowił swego dobrego pana zmartwić; założył się więc że utraci swoje niedzielne suknie jeźli mu się to nie uda; jeźli się zaś powiedzie, to tamci parobcy mają mu oddać swoje niedzielne suknie; musieli mu prócz tego zapewnić obronę, gdyby go chciano zakuć w kajdanki. Rzecz odłożono do jutra rana. Aleb był dozorcą stada owiec najdroższych. Gdy więc dobry pan wraz z gośćmi nazajutrz do owczarni przybył, chcąc im pokazać ulubione swoje owce, skinął djabli sługa na towarzyszy: „Uważajcie, zaraz pana rozgniewam.“ Towarzysze stali w kupce we drzwiach, patrząc na to, co będzie. Djbeł zaś wydrapał się na drzewo i z tamtąd spoglądał — jak mu jego służba usłuży. Pan przechadzał się pośród trzody, pokazywał gościom owce i jagnięta i chciał im pokazać najlepszego swego barana.

„I tamte są piękne, rzekł — ale ten z kręte mi rogami jest bez ceny, i droższy mi, od źrenicy w oku.“

Trzoda, jak zwyczajnie, przestraszona obecnością tylu obcych ludzi, rzuca się to tu, to tam — tak, że goście nie mogą się przyjrzeć baranowi o kręconych rogach; Aleb zaś ich jeszcze podgania i zwiększa zamięszanie. A pan do niego: „Aleb, bądź tak dobry, złap mi ostrożnie barana o kręconych rogach i trzymaj silnie.“

Tylko co pan te słowa wyrzekł — skoczył Aleb jako lew między trzodę, chwycił cennego barana za rugo, złapał go za przednią lewą nogę i poderwał ją do góry, że aż trzasło; baran beknął i upadł na przednie kolana; gdy go Aleb wziął za prawą nogę, chwiała się lewa, jak bat: była złamana poniżej kolana.

Goście i parobcy wydali okrzyk, a djabeł nie posiadał się z radości. Twarz pana zpochmurniała, opuścił głowę i nie rzekł ni słowa. Goście i parobcy zamilkli — czekając, co tego będzie?...

Pan milczał ciągle — nagle jednak, jakby zrzucał z siebie ciężar, drgnął, podniósł głowę i spojrzał ku niebu.

Zmarszczki z czoła znikły i uśmiechając się łagodnie rzekł do Aleba:

„O, Alebie, Alebie! Twój pan nakazał ci mnie zmartwić, ale mój Pan jest możniejszym od twego: o, tyś mnie wcale nie zmartwił, ale ja zmartwię twego pana. Wiedz tedy Alebie, że cię wcale za to nie ukarzę, wszak chciałeś być wolnym, daję ci wolność, tu w obec mych gości. Idź w spokoju i weź swoja ni dzielną suknię z sobą.“

I dobry pan oddalił się z gośćmi do domu.

Djabeł zaś zgrzytał zębami, skoczył z drzewa i zapadł się bez śladu.
